ROZMAITOŚCI.

Dnia 5 grudnia, N^er^ 49. roku 1846.

SCHADZKA.

(Ciąg dalszy.)

W kilka godzin po wyprawieniu listu do marszałka miasta, pospieszył tenże stawić się u Amalii. Byłato żywa kopija Szekspirowskiego Fallstaffa, tylko jeszcze kolosalniejsza i rubaszniejsza od swego sławnego oryginału. Opasły marszałek prawił wiele o swojéj przebiegłości w wyśledzaniu najchytrzejszych występców, o niezmordowanych staraniach, jakie sprawie *miss* Amalii chce poświęcić; lecz kończył suchém ściśnięciem ramion, mającém oznaczać, iż w niniejszym składzie okoliczności, wszelkie starania, zapewne do niczego nie doprowadzą. »Bo" — dowodził on — »albo sprawca téj kradzieży jest jednym z ludzi zamkowych, a natenczas sam tylko najwyższy lord-marszałek, ma prawo zagaić śledztwo, albo jest on nietutejszym, a wtedy już go pewnie nie masz w Londynie. Wszakże to wszystko byłoby jeszcze niczém, gdyby nie pewien niegodziwiec, łotr jakich mało, ten Jonatan Wild, któremuto rząd pozwala mieszać się w rzeczy policyi. Jestto, moja zacna *miss*, herszt, opiekun i wychowawca wszystkich złodziei, który im sam wymienia: gdzie się „z czém rozmówić" można,— tak oni kraść nazywają. Jeźli tedy coś w szpony ich wpadnie, natenczas właściciel udaje się zwykle najprzód do tego urwisza, a ponieważ ten wie o wszystkiém, przeto łatwo mu, skradzioną rzecz odszukać, i właścicielowi za znacznym okupem zwrócić!»

„A więc sądzisz pan, iżby lepiéj było udać się wprost do tego człowieka" — ozwała się Amalija.

"A Boże uchowaj!" zawołał marszałek. »Tego jeszcze nie stało, aby ten szubiennik wynalezieniem rzeczy w zamku St. James skradzionych, reputacyję swoję powiększył. Wtedy byłoby już po całéj mojéj powadze! A Boże zabraniaj! Raczéj wolę sam przebrać się za siepacza, i od domu do domu śledzić skradzionych klejnotów, niż do tego dopuścić! Przeto bądź pani ile możności spokojną! Wynajdziemy, wynajdziemy niechybnie stratę pani. Tylko się pani do tego wisielca Wilda z tém nie udawaj. Napisał on paszkwil na mnie, lecz już ja mu się za to wywdzięczę. — A skoro klejnoty pani się znajdą, natychmiast dam pani o tém wiadomość.»

Poczém przyrzekłszy jeszcze raz najuroczyściéj, iż ani jeść, ani pić nie będzie, dopóki śladu skradzionych kosztowności nie wytropi, i że samego sławnego dyrektora policyi w Paryżu, pana Sartine, przebiegłością i chytrością swoją w tém zakasuje; pożegnał pan marszałek Amaliję, którą niestety, te szumne przyrzeczenia, nie wielce pocieszały. Poznała ona się bowiem na właściwéj nieudolności marszałka, a tak wszelkie jéj nadzieje ograniczyły się tym razem na staraniach lorda Henryka. Z największą tedy niecierpliwością liczyła chwile aż do wyznaczonéj pory widzenia się z kochankiem, a gdy ta nadeszła, udała się pod pozorem odwidzenia przyjaciołki, do Green-Park, na miejsce schadzki. Miejscem tém była piękna bukowa aleja, kończąca się ukrytą altanką. Tam czekał już lord Henryk na Amaliję. Posępne jego wejrzenie, zaraz u wstępu oznajmiło jéj, iż zabiegi jego aż potąd żadnego skutku nie miały. Był on wprawdzie u Jonatana Wild, i otrzymał odeń zapewnienie dołożenia wszelkiéj usilności w téj sprawie; wszelako nadszedł właśnie przed chwilą bilet od niego, donoszący o bezskuteczności wszelkich dotychczasowych kroków. Co jednak, jak sławny »*Thiefthakcr*" się wyraża, nie powinno odejmować jeszcze nadziei, gdyż podwoi on skrzętność i zabiegi swoje, aby odpowiedzieć położonemu weń zaufaniu. — Nareszcie po mnogich przyrzeczeniach dalszych niezmordowanych starań i wszechstronnych poszukiwań; rozstał się lord Henryk z Amaliją, która chcąc mu zostawić czasu do oddalenia się, przez chwilę w altanie pozostała.

Rzewny smutek ogarnął biedną dziewczynę. Przyszły jéj na myśl wszystkie zawiedzione nadzieje przyszłości, całe szczęście stracone. Niegdyś polubienica księżnéj, dziś wszelkiéj łaski jéj pozbawiona! Lubo pewna przywiązania i miłości Henryka, widziała przecież w uporze starego, hardego hrabi,

nieprzełamaną zaporę szczęścia. Mały jéj mająteczek wystarczał wprawdzie do zabezpieczenia skromnego losu, lecz nie wynagradzał straty zaszczytnéj i przyjemnéj posady. Te rozmyślania wzruszyły ją tak mocno, iż łzy się jéj z oczu puściły, i długo gorzko płakała. Tak łkając w nieutulonym żalu, siedziała Amalija z zakrytém chustką obliczem, gdy wtém jakiś męzki głos ztyłu się ozwał:

„*Miss* W.. nie powinna tak przykremu smutkowi się oddawać, dopóki jeszcze ma przyjaciół, którzy gotowi są, w każdém zmartwieniu radą i uczynkiem ją wesprzéć.”

Amalija obejrzała się przestraszona, i postrzegła tuż za sobą wytwornie ubranego mężczyznę, ale już nieco w latach. Z wyrazistéj twarzy, ocienionéj długą, rzęsistą w loki peruką, wyglądało dwoje roztropnych i przenikliwych ócz. Miał on na sobie modną haftowaną suknię jedwabną, z pod któréj widać było nizko spadającą kamizelę z śrebrzystego brokatu. Na piersiach zwisały końce koronkowéj podszyjnéj chustki, i takież same mankiety opasywały ręce, z których jedna połyskiwała kosztownym brylantowym pierścieniem, podczas gdy druga, na rękojęci ozdobnéj śrebrnéj szpady spoczywała. Maleńki trójkątny kapelusik, szérokim złotym galonem bramowamy, nieco na bakier na napuszystéj, ogromnéj peruce siedzący, tudzież czerwone podpiętki u trzewików; znamionowały szlachcica, który lubo już w nieco podeszłym był wieku, mógł przecież raczéj do młodych niż do starych się liczyć.

Amalija zmieszała się mocno na widok nieznajomego.

„Nie wiém doprawdy.... mój panie”.... rzekła z zająknieniem....”— „Co mię ośmiela być natrętnym pannie W...., i wspominać o jéj smutku?” — dokończył nieznajomy — Oto ośmiela mię do tego najprzód powszechny szacunek, jaki wszyscy znajomi dla niéj mają, a który jest mi rękojmią, iż mój udział źle tłumaczonym nie będzie; a powtóre, nadzieja przyniesienia niejakiéj ulgi smutkowi, który te piękne oczy tak zbytecznémi do ich blasku ćmi łzami; wreszcie przywrócenie jéj król. wysokości, księżnie Walii, skradzionych jéj rzeczy.”

„A wolnoż mi, mój panie” — ozwała się Amalija zdziwiona — „zapytać, kto pan jesteś?”

„W istocie, moja piękna *miss*, nie wolno pani tego” — odpowiedział nieznajomy z uśmiéchem — jeźli mi sama nie chcesz utrudnić możności, być pani pomocnym. Wszakże mówmy raczéj o prawdopodobieństwie téj pomocy. Jakto pani sama uznajesz, nie można się po marszałku miasta wiele spodziéwać.”

„Jakto?” zawołała Amalija. »Wiész pan tedy o mojéj z nim rozmowie!”

Nieznajomy zdawał się nie zważać na ten wykrzyknik, i ciągnął daléj mowę: „Również i Jonatan Wild, do którego lord Henryk się udawał, małą czyni nadzieję. Czyż lord B.... sam pani tego wyraźnie nie oznajmił?”

»Ach Boże! Zadziwiasz mię pan w istocie! Zkądże pan możesz wiedziéć, co lord B.... ze mną mówił?»

„Nie zapuszczajmy się w drobnostki, które do celu nie wiodą” — odrzekł nieznajomy z osobliwszym uśmiéchem — „Dość, że nic prawie jeszcze dotąd nie uczyniono.” —

„Ależ ten Jonatan Wild ma być prawdziwym jenijuszem w dochodzeniu podobnych sprawek.” —

»Zapewne” — przejął nieznajomy obojętnie — Ale i on też nie Pan Bóg, aby wszystko mógł wiedziéć, a jenijuszem można nieraz dziwnym sposobem u ludzi zostać. Dopóki szczęście służy, jesteś jenijuszem, gdy szczęście chybi — głupcem, zwyczajna świata pochwała! Wszelako pomińmy, co nie należy do rzeczy, i opowiédz mi pani raczéj, jak to wszystko się stało.— Więc o jakich pięć minut po dziesiątéj szłaś pani do żółtego pokoju w ostatnim korytarzu lewego skrzydła, aby tam z lordem Henrykiem się widziéć.”

Twarz Amalii spłonęła cała rumieńcem.

»W drodze spotkałaś się pani z człowiekiem wojskowéj postawy, wyrazistych rysów, i z krésą na twarzy. Czy tak?»

»W saméj rzeczy. Tak to było» — wyjąknęła Amalija.

„Dobrze więc. I byłaż ta krésa na lewym czy na prawym policzku?»

»Zdaje mi się, na lewym» — odpowiedziała zapytana.

»Przepraszam panią, lecz na samém zdaje mi się, nie dość; nam potrzeba pewności. Nie możemy po fałszywych tropach się błąkać, gdzie idzie o tak ważne rzeczy, bo prawdopodobnie o czyjąś głowę i życie. Zatém nie wiész pani z pewnością, czy ta krésa na lewym czy prawym policzku była?»

„Nie, tego z pewnością twierdzić nie mogę.”

„Szkoda! Wielka szkoda! W tém bowiem główny sęk.” Poczém zamyślił się nieznajomy, a wreszcie zapytał: »Przecież, czy mogłabyś pani poznać tego człowieka przy powtórném widzeniu?»

„Niezawodnie!” zawołała Amalija dobitnie. „Poznałabym go z tysiąca.»

„I wtedy nawet, gdyby miał inne suknie i perukę?”

„I wtedy nawet» — odrzekła Amalija po krótkim namyśle. »Rysy jego są mi tak żywo w pamięci, iż dziwi mię doprawdy, jakim sposobem uwagi mojéj ujść mogło, czy krésa była na lewym czy też na prawym policzku.»

„Ha, dobrze więc!” rzekł nieznajomy, więcéj do siebie niż do Amalii. »Nie ma innego środka! Wszystko reszta byłaby napróżno. — I miałażbyś

pani odwagę do przedsięwzięcia kroku, któryby wprawdzie na żadne niebezpieczeństwo nie naraził, jednakowoż w dość niezwykłe towarzystwo i położenie ją przywiódł?»

„Ach, życiebym chętnie oddała»— odrzekła Amalija z żywością. „Jestem na wszystko gotowa! Mów pan tylko.»

»Powtarzam pani raz jeszcze, iż w tém najmniejszego nie masz niebezpieczeństwa; wszelako potrzeba mieć odwagę, aby się przed czasem nie zdradzić.»

„Proszę pana, mów tylko! Odważę się na wszystko, byle odzyskać stratę» — mówiła Amalija nalegając.

„Mogłażbyś pani oddalić się dziś w nocy o dwunastéj, na dwie godziny, z zamku St. James?»

»Czyż tego nieodzownie potrzeba?» — zapytała Amalija z niejakiém wahaniem.

„Nieodzownie! Tylko pod tym jednym warunkiem śmiém pani zaręczyć odzyskanie skradzionych rzeczy. Zresztą możesz pani zupełnie być bez obawy. Oto mój pierścień i tabakierka z brylantami, wartości 1000 funt. szterl. Nie masz w tém wprawdzie dostatecznéj rękojmii za bezpieczeństwo osoby pani, wszakże i tysiąca funt. szterl. nikt daremnie nie wyrzuca. Przyjm pani więc te kosztowności, a jutro je sobie odbiorę.»

»Przepraszam pana za moje wahanie. Nie przyjmę» — rzekła Amalija odsuwając podane sobie klejnoty. »Zaufam panu zupełnie. Racz mi pan tylko powiedziéć, co mam czynić.»

„Wyjdziesz pani o wpół do dwunastéj z zamku, bramą po lewéj stronie. O kilka kroków zdybiesz osobę, która się zapyta: „Czy już północ minęła?» — Odpowiesz jéj pani: „Właśnie w pół do dwunastéj wybiło» — i udasz się za nią w niejakiéj odległości. Co daléj czynić, dowiesz się na miejscu. Teraz tylko tyle jeszcze powiedziéć muszę, iż możesz spuścić się zupełnie na tę osobę; przezco proszę panią wyraźnie, słuchać we wszystkiém jéj rady.»

Wymaganie nieznajomego, wielce Amalię zadziwiło. Lubo jakiś wewnętrzny głos jéj mówił, iż mu zaufać może, przecież wydała jéj się ta rzecz bardzo wątpliwą. Nieznajomy odgadł jéj myśl i rzekł: »Zostawiam to zupełnie woli pani, przystać na moje żądanie, lub nie. Nie mam ja w tém innego celu, jak tylko, stać się jéj usłużnym. Zaręczam pani jeszcze raz wszelkie bezpieczeństwo, i powtarzam, że przyjęcie mojego oświadczenia, jest jedynym środkiem dopełnienia jéj życzeń. Bez tego ani marszałek miasta, ani Jonatan Wild, słowem nikt w świecie pomódz pani nie zdoła,»

Słowa i wzrok mówiącego, miały coś tak przekonywającego w sobie, były tak szczérym wyrazem prawdy nacechowane, iż Amalija naraz znów odwagi nabrała.

„Dobrze więc, sir, przystaję» — rzekła biorąc nadstawioną sobie rękę. »Nie podobna, abyś pan zaufania, abyś pan trwogi méj duszy, do niecnych celów miał nadużyć.»

„Tak jest, niepodobna» — powtórzył nieznajomy z przyciskiem. »Bądź pewną, droga *miss*, iż położonego we mnie zaufania nie pożałujesz.»

»Ach mój panie! — zawołała Amalija wzruszona — »Czémże mogłabym ci się wywdzięczyć, gdyby ci się powiodło, wyrwać mię z tego nieszczęścia!»

„Tém» — odrzekł nieznajomy — „iż bez mojego wyraźnego zezwolenia, żadnéj żywéj duszy nie wyjawisz, co téj nocy obaczysz. Miałbym panią za niewdzięczną, gdybyś się z tém wygadała.»

Po tych słowach wstał nieznajomy, pocałował Amalię z uszanowaniem, a nawet z niejaką przesadną ceremonijalnością w rękę, i rzekłszy jeszcze tylko: — „A więc o wpół do dwunastéj» — wyszedł szybko z altany.

Amalija nie mogła przenieść na sobie, aby nie wyjrzéć za nim ciekawie. Gdy nieznajomy u końca alei stanął, zajechała kareta, on wsiadł, konie ruszyły.

Przez cały dzień rozmyśliwała Amalija, ktoby to był ten nieznajomy, i jakim on sposobem o téj całéj sprawie tak dokładnie mógł wiedziéć. Atoli wszelkie łamanie sobie głowy było daremne, i nie pozostało nic innego, jak bądź co bądź, przebyć tajemniczą przygodę. Szczególne okoliczności zdały się dziwnie temu sprzyjać. Księżna, znużona przejażdką, udała się wcześniéj niż zwykle na spoczynek. W razie jakiéjś potrzeby, musiano pannę Warren przywołać, gdyż na nią była koléj téj nocy. Zatém skoro oznaczony czas się zbliżył, wzięła Amalija płaszcz i kapelusz, zakrywający większą część twarzy, i za uderzeniem w pół do dwunastéj, wyszła z zamku.

Byłato ciemna noc jesienna, zalana mgłą i wilgocią. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, postrzegła Amalija jakąś ciemną postać. Byłato kobiéta w płaszczu i kapeluszu. Gdy Amalija koło niéj przechodziła, ozwała się nieznajoma z cicha, „czy północ już minęła?» — „Właśnie w pół do dwunastéj wybiło» — odrzekła Amalija, na co nieznajoma zwróciła się, i skinęła na Amaliją, aby szła za nią.

Ledwie tak z pięć minut jedna za drugą uszły, pokazał się powóz czekający na kogoś. Nieznajoma obróciła się do Amalii, dając znak ręką, aby wsiadła; a gdy się to stało, nieznajoma zajęła miejsce obok Amalii, i natychmiast powóz pędem ujechał.

Teraz dopiéro ogarnął strach Amaliją, iż tak nierozważnie wdała się w niebezpieczeństwo. Nie-

*

znajoma zdała się to zgadywać, i rzekła chrypliwym głosem: „Wnet będziemy u celu,” — Jakoż w istocie stanął powóz niebawem przed ładnym domkiem, znajdnjącym się, jak Amalija z radością przy wysiadaniu postrzegła, w pobliżu znajomego sobie Old-Bayley.

Gdy obie do domku weszły, a nieznajoma drzwi starannie na rygiel zamknęła; wstąpiono do małego pokoju, oświetlonego jedyną ćmawą świécą. Przewodniczka Amalii zdjęła płaszcz i kapelusz, i okazała się teraz być kobiétą mającą około lat piędziesiąt, i wcale nie ujmnjących, poufanie wzbudzających, lecz owszem wykrzywionych, złośliwych rysów twarzy, jakie zwykle stare kłótliwe kobiety miéwają

„Zabawimy tu chwilkę tylko” — rzekła nieznajoma dobywając jakiegoś pakietu z szafy. „Daléj pójdziemy pieszo, lecz wprzódy musisz pani w inne suknie się przebrać.” — Poczém wyjęła stara cały kobiécy ubiór z pakietu, podobny do owczesnego stroju mieszczańskich dziéwcząt; który Amalija szybko na siebie wdziała. Toż samo i nieznajoma ubiór zmieniła, lecz ubrała się w daleko uboższe suknie. Jakże się Amalija przelękła, gdy stara, biorąc inny czépek na głowę, włosy sobie do góry podwinęła: — nie stawało jéj jednego ucha.

Niewymowny strach zdjął Amaliję. Rozbudzona jéj wyobraźnia malowała sobie okropne zbrodnie, za które starą w' ten sposób ukarano. Nadaremnie rozum jéj tłumaczył, iż nie są w Turcyi ani w Persyi, gdzie sprawiedliwość podobne kary wymierza; że strata ucha może być skutkiem nieszczęśliwego przypadku; Amalija drżała jak liść osiki, i przez cały ciąg ubierania się staréj, nie mogła zwrócić oka z miejsca brakującego ucha. Przewodniczka jéj, stojąca przed źwierciadłem, postrzegła to, i ozwała się gniewnie: „Może panna myślisz, iż ja nieuczciwym sposobem ucho moje postradałam? Mocnobyś się omyliła! Jestto pamiątka małego małżeńskiego poswarku. W każdém małżeństwie zdarzają się podobne wypadki. I panna tego kiedyś doświadczysz. Bo to już inaczéj być nie może. Odkiedy świat światem, zawsze mężowie byli tyranami, a biedne żony męczeniczkami; a w całą obronę dał nam Bóg tylko język. Chociaż i to czasami nie zła broń, a jeźli kto władać nią umié, to i najtwardszy mężczyzna z placu ustąpi. Zresztą dał nam też Pan Bóg dziesięć palców. Ale jesteśmy już gotowe, i możemy iść daléj w drogę.”

„Czy jeszcze daleko iść mamy?” zapytała Amalija z obawą.

„O, jeszcze kawałek drogi, moja kochana *miss.* Najprzód jednak posłuchaj, co masz robić. Bo mój mąż przykazał mi najsurowiéj, abym pannie należycie to wyłuszczyła. Jesteś moją siostrzenicą, i nazywasz się Liddy. Idziemy do domu, gdzie kilku „znajomych,” mających z sobą interesa — jakie, sama panna obaczysz — co tygodnia się zchodzą, aby się obrachować, i razem powieczerzać. Mój mąż przedstawi pannę towarzystwu jako swoję siostrzenicę, mającą póżniéj także do interesów należéć. Gdy zasiędziem do stołu, uważaj panna dobrze wszystkich obecnych, aby się przekonać, czy ów nieznajomy, któregoś panna owego wieczora, gdy klejnoty w zamku skradziono, na korytarzu spotkała, pomiędzy gośćmi się znajduje. Będziesz miała dość czasu na to, aż do końca wieczerzy. Nie powinno ci to jednak żadnéj róźnicy czynić, czy obaczysz tego człowieka w jasnych czy ciemnych włosach, w peruce lub bez niéj, gdyż może się to tak albo inaczéj wydarzyć; jakoteż i na krésę na twarzy nie zważaj, będzie bowiem kilku pomiędzy nimi, co podobnie są znaczni. Przy końcu wieczerzy wezwie cię mój mąż, abyś do jednego z towarzystwa na dobrą znajomość piła. Natenczas wypijesz w ręce tego, o którym się z największą pewnością przekonasz, że jest ten sam, co cię owego wieczora spotkał. Jeźli go nie będzie pomiędzy gośćmi, lub jeźli tylko najmniejszą będziesz miała wątpliwość, tedy pij w ręce mojego męża.”

„Ależ, moja kochana, ja męża waszego nie znam, a wszedłszy do pokoju” —

„Przedstawi cię mój mąż towarzyszom jako swoją siostrzenicę. Zresztą odzywaj się jak najmniéj, aby nie powzięto podejrzenia, iż jesteś innego kroju, niż reszta gości. Na każdy wypadek przyspieszę ci w pomoc natychmiast, skorobyś miała być w kłopocie.”

Po tych słowach wzięła stara świécę, i kazawszy Amalii iść naprzód, zamknęła izbę, zgasiła światło, otworzyła drzwi na ulicę, i starannie ze dworu je zawarła.

Zrazu prowadziła droga przez kilka ulic, które chociaż o tak póżnéj porze, były jeszcze dość ożywione; lecz wkrótce zawróciła przewodniczka Amalii w boczne uliczki, które coraz cichsze i odludniejsze się stawały. Oświetlenie miasta należało w owych czasach po większéj części wyłącznie do księżyca, a że ten właśnie stał w ostatniéj kwadrze, przeto była ta dzielnica zupełnie ciemną. Po przeszło półgodzinnéj wędrówce, zaszły obie w wązki zaułek, gdzie wszystkie domy wyglądały daleko nędzniéj, niż teraz najuboższa chata w pobliżu stolicy. Wreszcie weszła przewodniczka Amalii w ciasny przesmyk między dwoma domami, jakby tylko na ściek dla rynew dachowych przeznaczony, a zanadto wązki, aby dwoje ludzi obok siebie iść mogło. W jednym z domów po lewéj ręce, znajdowały się drzwi niziutkie. Stara zapukała zcicha, jednakże nie do drzwi, lecz do szczelnie zamkniętéj okiennicy. Po kilku chwilach, otworzyły się drzwi i znowu

się za weszłémi zamknęły. Brudna latarka, przyczépiona do muru, oświetlała ponuro długą, wązką sień, prowadzącą obok otwartéj piwnicy do izby w głębi, zkąd słychać było rubaszne głosy męzkie. Przykry zapach wódki i piwa, połączony z zapachem rozmaitych potraw, przesiąkającym dom cały, nawodził Amaliję na myśl, iż są w najpospolitszéj gospodzie lub garkuchni. Również z trwogi jak i odrażliwego powonienia, była Amalija blizką mdłości. Stara spostrzegła to, i z uśmiéchem szepnęła jéj do ucha: „Nie bój się panna! Nie jedna przebrana dama waszego »wyższego towarzystwa« przechodziła już przez tę sień, aby tam na górze, w ciasnéj izdebce, wesoło z swoim kochankiem się zabawić. Mogłabym pannie po imieniu je nazwać, gdyby mi wolno było, a zapewne nie pojęłabyś się z zadziwienia. Damule, którym marmurowe stopnie pałacu St. James są za wązkie, a które zapach prostych potraw spazmów nabawia; nie wzdrygnęły się wąchać zapachy téj sieni; ani też owe poszczerbione schodki w kącie, niewygodnémi się im nie zdawały. Lecz oto jesteśmy już u celu.”

Co rzekłszy, otworzyła stara drzwi, a obie nasze wędrowczynie weszły do niewielkiéj, dość lichéj izby. W około dużego stołu, nakrytego brudnym, poplamionym obrusem, a zastawionego potężnémi dzbanami z porterem; siedziało dziesięciu albo dwunastu mężczyzn. Po ubiorze należeli oni do najniższéj klasy ludu. Byłyto po większéj części krępe, barczyste postacie, z wyrazem chytrości lub zapamiętałéj odwagi w twarzy. Ktoż jednak opisze zdumienie Amalii, gdy na pierwszy rzut oka poznała u wyższego końca stołu, owego niezajomego z Green-Park, ale tym razem już nie w modnym, jedwabnym stroju, w peruce i z szpadą przy boku, lecz w grubym sukiennym spencerze, z ostrzyżoną głową, w kudłatéj futrzanéj czapce. Lubo żywą z towarzyszami rozmową zajęty, zaprzestał on jéj natychmiast, skoro Amalija ze swoją przewodniczką wstąpiła.

„Idziesz wreszcie, Mary! ty stary skwarku!” — zawołał jéj małżonek — „Gdzieżeście tak długo bawiły? Czy mała Liddy nie mogła się uporać ze swoim strojem? — Panowie!” dodał, zwracając się do towarzyszów. — »Oto moja siostrzenica Liddy Tistlesaake! Wziąłem ją na jakiś czas do siebie, ponieważ jest teraz bez matki, która siedzi w klatce w Dublinie, za to, że „mówiła” ze złotym łańcuchem, wiszącym w sklepie za oknem. — Ojciec umarł w Belfascie na ciasną podszyjkę.”

„Tém serdeczniéj więc witamy cię, moja ładna czarnobréwko!” — krzyknął jeden z biesiadników, któremu wszystkich siedm śmiertelnych grzéchów wypisanych na czole było. „Jesteś takim sposobem z dobrego domu, i obeznana z rzemiosłem!”

„Daj go katu!” — ozwał się drugi, biorąc Amaliję za rękę. — »Cóżto za powabną kamratkęś nam sprowadził, prezydencie! A co za małe i lubiuchne ma ręce! U takich paluszków muszą wszystkie kieski i tabakierki, jak opiłki do magnesu, same się wieszać! — Powinieneś ją prezydencie do spraw kieszonkowych zaprawiać.”

»Jakby mąż mój dopiéro twojéj mądréj rady, Dick, do tego potrzebował!» — ozwała się stara. „O, umié ona już zawieszonéj u powały lalce wyjmować zégarek lub sakiewkę, że ani jeden dzwonek nie dźwięknie! Ale puść ją! Zdaleka od dziewczyny! Wiesz, że ja tego nie lubię!»

»No, no» — ozwał się zganiony ze śmiéchem. „Niegniewajcie się, matko! Patrzcie no tam» — dodał wskazując na mały stoliczek, zasypany pieniędzmi, śrebrnémi zegarkami i złotémi tabakierkami.» — »Widzicie, co się tam świéci! Udał nam się dziś wyborny połów na wyścigach w Ascot. Prezydent dobrze radził, aby dać pokój tutejszym modnisiom, a brać się głównie do cudzoziemców i wiejskiéj szlachty. Ci jeszcze po dawnym ojczystym obyczaju, sakiewkę i tabakierkę z tyłu w surducie chowają, gdy nasi eleganci mimo swojéj wszelkiéj głupoty, są przecież tak rozumni, że jedno i drugie, za pazuchę kryją.”

„I to im nic nie pomoże!” — zawołał trzeci, któremu oszustwo z krągłych, sroczych oczu patrzyło. — „Oskubałem dziś jednego Francuzika, który, Bóg wié, jak mniemał być pewnym, że tłustą sakiewkę z dukatami włożył do kieszeni na piersiach, i surdut zapiął! Otoż w obecności przynajmniéj dwudziestu ludzi, niepostrzeżony odbywałem tę operacyję! Muszę wam tę sztukę pokazać, bo mógłbym umrzéć, nim się jéj nauczycie, a tak zaginęłaby bez śladu, a wybyście mnie żałowali, i długo po mnie czarno chodzili!»

„Czarno chodzili? Trim!” — ozwał się jakiś trędowaty, który połąd porterowi pilnie przymawiał. „Chyba kruki i kawki będą po tobie czarno chodziły!”

»Stul gębę, Robin» — zawołała Mary, widząc, że tamten się odgraża Potém obróciwszy się do niego, rzekła: »Nie zważaj na tego opoja! On cię obrazić nie może!”

»Tak, Mary; dobrze mówicie; on mnie obrazić nie może» — ozwał się poprzedni. — »On nie szlachcic. Ale jakże prezydencie, czyż nie zapiszemy dzisiejszego przychodu? Czasby też już było wieczerzać.”

»Słusznie mówisz» — odpowiedział małżonek Mary, ów nieznajomy z Green-Park. „Podajcie mi klucze do kasy.”

Témi kluczami byłyto obcęgi i żelazny drąg do podważania, któremi »prezydent” po odsunięciu dużéj szafy z kąta izby, wyciągnął kilka goździ z deski w podłodze, i podważył ją do góry; po czém dwóch

najsilniejszych wydobyło zpod podłogi dużą, dwoma kłódkami zamkniętą żelazną skrzynię, i postawiło ją na stole. Następnie podano »prezydentowi» opieczętowany woreczek, z którego on dwa klucze wyjął i skrzynię odemknął.

»Pozostało w kasie z przeszłego miesiąca: 120 funt. 3 szyl. 2 penny» — czytał prezydent z wydobytéj z skrzyni książeczki. „Dzisiejszy przychód w gotowiźnie: 90 funt. 1 szyl.; w precyjozach 60 funt.; zostaje więc w kasie razem 270 funt. 4 szyl. 2 penny. — Od dziś za tydzień przypada zamknięcie kasy i główny podział. — Czy nie chce kto zadatku?»

„Ja potrzebuję dwóch lub trzech funtów» — ozwał się ów opój, Robin — »Byłem w Eastcheap, i tam mię w „Solo» i „Halbe-cwelbe» do koszuli obrali.»

„Masz tu pieniądze» — rzekł prezydent, rzucając mu kilka złotówek, i wpisując coś do książeczki. — „Lecz już ci raz powiedziałem, że nie przystoi, abyś w Eastcheap z lada kim w karty grywał.»

„To się ma rozumiéć!» — krzyknął Trim. „Kompromitujesz całe towarzystwo. Porządny człowiek powinien dbać, aby go szanowano.»

Złajany chciał coś odpowiedziéć, lecz stara przejęła mu natychmiast, mówiąc: „Daj spokój, Robin! karty i kostki przywiodą cię jeszcze na szubienicę! Wstydź się! W szulerkę z gałganami się wdawać! To hańba! Toteż już i po twoim dawnym sprycie i śmiałości! Niegdyś byłbyś samemu lordowi kanclerzowi w izbie parów kieskę z zapazuchy wyciągnął, a teraz gdyby w pałacu St. James sakiewki i tabakierki na środku dziedzińca leżały, tybyś nie odważył się pójść po nie!»

»No, no, stara» — odpowiedział Robin, sciskając wzgardliwie ramiona. "Wy wiecie swoje, a ja swoje! Jestem ja zawsze jeszcze ten sam, co wprzódy, i mógłbym was o tém przekonać. Ale ot — wolę milczéć.»

Aż potąd niezważała Amalija na pojedyńcze fizyjonomije zacnego towarzystwa. Nie dozwalały jéj tego trwoga i zmieszanie; témci mocniéj zdziwiła się, spojrzawszy w twarz temu, co teraz mówił; poznała w nim natychmiast swojego nieznajomego przechodnia na korytarzu. Byłyto teżsame wybitne zuchwałe rysy, i ta po lewym policzku ciągnąca się krwawa krésa. Odtąd nie spuszczała go z oka, a z każdą chwilą, podczas gdy „prezydent» zamknął skrzynię, i znów ją pod podłogę spuszczono, i szafę nazad na dawne miejsce ustawiono; wzmagało się to przekonanie jeszcze mocniéj. Już nie było najmniejszéj wątpliwości.

Wtém zbliżyło się kilku łotrów do Amalii, chcąc zapewne rozmowę z nią rozpocząć; co widząc stara, ofuknęła ją chrapliwym głosem i rzekła: »No, czyż myślisz, iż ja cię tu po to przywiodłam, aby się chłopcy do ciebie mizdrzyli! Daléj do roboty, i ucz się, jak ciężko ludzie na kawałek chleba pracować muszą. No, ruszaj i nakryj do stołu!»

Po tych słowach wyjęła Mary z szafy duży obrus, który, sądząc po wyszytym w rogu herbie, trudno aby pierwotnie dla tutejszego przeznaczony był stołu. Amalija jęła nakrywać, kilku łotrów wyszło na dwór i wróciło wkrótce z koszami wina, które w mnogich butelkach na stole ustawiono; wreszcie zaczęto wnosić potrawy. Gdyby ktoś z téj brudnej, okopconéj izby, i bawiącego w niéj towarzystwa, tudzież z zastawionego prostego, cynowego serwisu, na wartość wieczerzy chciał był wnioskować; byłby się grubo omylił. Wieczerza była wyborna. Nie tylko ilość potraw, ale i smaczność tych wyśmienitych rostbifów, delikatnych plumpudingów, i prawdziwych perigordzkich pasztetów; nie pozostawiały nic do życzenia. Tudzież i wina najlepszych gatunków, jakoto: »Claret,» „Sherry» i »Dry-Madeira» zupełnie reszcie wieczerzy odpowiadały. Że ani jadła ani napitku nie szczędzono, rozumié się samo przez się, równie jak i to, że rozmowa, tocząca się najwięcéj około przeszłych i na przyszłość zamierzanych arcydzieł sztuki złodziejskiéj, niekiedy zbyt głośną i wrzawną się stawała. W takim razie uderzał »prezydent» trzonkiem noża o stół, a natychmiast wszystko się uspokajało. Dziwna téż była powaga tego »prezydenta» u całéj zbójeckiéj zgrai. Mówił on mało, i najczęściéj tylko aby jednych za zmyślne sprawki pochwalać, drugich zaś za opieszałość lub „nierozsądek» zganić, lecz skoro się ozwał, wszyscy w najkorniejszém milczeniu go słuchali. Drugie, co Amaliję w podziw wprawiało, było, iż „prezydent» jak najsurowiéj przykazywał, aby przy każdéj kradzieży, adresu okradzionego się wywiedzieć, i zaraz mu zwrót skradzionéj rzeczy za należyty okup nastręczyć. „Przezto» — mówił on — »unikamy niebezpieczeństwa śledztw policyjnych, o ile że właściciel zwykle z ochotą na ten sposób odzyskania straty przystaje, i zresztą milczy; a przytém jestto daleko przyzwoiciéj — „*more gentlemanlike*» — niż kraść prostackim sposobem bez oddania.»

Ucztowano tak z godzinę, aż wkońcu „prezydent» Amaliję wezwał, aby jako gość, za zdrowie obecnych, w ręce jednego z towarzyszów wypiła. Amalija wzięła natychmiast śklankę, i skłoniła się ku owemu z krésą, co tém mniéj w oczy uderzać mogło, iż dla lepszego uważania go, siadła sobie była naprzeciw niego. On aż potąd małoco na nią zważał, lecz od téj chwili widocznie z niezwyczajną uwagą w nią się wpatrywał. Nie uszło to baczności »prezydenta», i dla tego rozkazał swojéj żonie, aby z mniemaną siostrzenicą butelki i śklanki sprzątnęła, gdyż ma jeszcze z towarzystwem pomówić

Trudno wyrazić, jak skwapliwie wszyscy to oświadczenie przyjęli, i szybko do reszty śklenice wy-

próżniwszy, w oka mgnieniu umilkli, i wszelką uwagę na »prezydenta« zwrócili.

»Panowie!« — ozwał się tenże — »Jużto kilkokrotnie z niemałém ukontentowaniem postrzegałem, iż znaczne nadużycia w nasze towarzystwo się wkradły. Aby im przystępu nie dawać, wyklnczyliśmy już wielu niegodnych zpomiędzy siebie, i smutny oni wnet koniec mieli. Zdawiendawna było moją zasadą, ąby jak najsumienniéj zachowywać ustawy, jakieśmy na się włożyli; tylko pod tym warunkiem ofiarowałem wam moje usługi. A u mnie porządek, uczciwość i przyzwoitość — nad wszystko! Czyż nie tak, panowie?!«

»Jużci! Jużci!« — ozwało się kilku — »Uczciwość i porządek musi być. Natośmy cię obrali. To też każdy z nas ci to przyzna, iż jesteś w naszém towarzystwie tém, co węch w nosie.»

»Dziękuję wam, dziękuję, moi panowie!« odpowiedział »prezydent« z afektowaną skromnością. »I témci gorliwiéj będę wam zawsze służył. Owoż ta gorliwość zmusza mię do smutnego obowiązku oznajmić wam, iż zaszło przeniewierstwo w interesach.«

»A niechże jasne pioruny trzasną!» krzyknął jeden podpiły, uderzając w stół pięścią.

»Pułkownik Jozua Richards« — mówił »prezydent«, trzymając małą książeczkę w ręku — »donosi, iż mu przeszłego poniedziałku, w południe, przy Blackfriars-bridge złota tabakiera zginęła, i daje za nią 5 gwinejów okupu. Wszakże tabakiera ta nieznajduje się w przychodzie przeszłego tygodnia. Odkąd Joe, Tunstalla, co się w nasze interesa mieszał, powieszono; nikt się tego czynić nie waży; a owego poniedziałku stacyjonowali przy Blackfriars-brigde, Tom Jonkins i Robin Trotter.«

»Ja z tą tabakierką nie »mówił«— krzyknął Tom, — »To pewnie ty, Robin! Gadaj, bo ci kark skręcę!«

»Przepraszam prezydencie« — ozwał się Robin. — »Mam ją w istocie, lecz jak na śmierć o niéj zapomniałem. Inaczéj byłbym sobie nie kazał dawać zadatku.«

Powszechny szmer niechęci ozwał się w izbie. Zewsząd wymierzono groźne spojrzenia i pięści ku winowajcy.

»Prezydent« wpatrzył się weń przenikliwie, i po chwili milczenia rzekł oziębłe: »Czyś tylko o tabakierze zapomniał? Być może, iż jeszcze o czémś inném? — Przypomnij sobie dobrze, Robin Trotter, czyś czego nie zataił?«

Zagadnięty zdawał się być zmieszanym, spuścił oczy, lecz wnet się ośmieliwszy, spojrzał niepewnie na »prezydenta« i ozwał się wpół-trwożnie, wpół-groźnie:

»Nie wiem czego chcecie ode mnie, prezydencie. *God dam!* Czyż mię za łajdaka macie, żem tę bzdurę zapomniał?«

Lotem błyskawicy wyjął »prezydent« pistolet z zanadrza, odwiódł kurek, i w łeb Robina wymierzywszy, zagrzmiał okropnym głosem:

»A gdzież są klejnoty i listy z pałacu St. James, łotrze! Mów, albo w oka mgnieniu czaszka ci w kawałki się rozleci!«

»Są — na strychu — w mojéj komórce — schowane»— wyjęknął Robin zbladłszy.

»Zabić go! Zabić psa!« ozwano się zewsząd i kilka nożów zabłysło mu nad głową.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 48my i zawiéra: 1) Prośba Redakcyi; 5) Owies ozimy; 3) Bernemana uprawa wina około budynków, murów, chodników i drzew) Ciąg dalszy.) 4) Łatwy sposób czyszczenia miejsc zdatnych na łąki i zarośla do nskutecznienia w miesiącu lipcu 5) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 25ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Ona była niewinna. Powiastka Przez Władysława Zawadzkiego. 2) Wystawa obrazów w Paryżu w roku 1846. 3) Nowości literackie.

Przeciw bawełnie strzelniczéj odzywają się już liczne głosy. I tak aptekarz w Hamburgu Uler, umieścił w pismach czasowych następującą przestrogę: »Jak przezornie z tak zwaną eksplodującą bawełną obchodzić się należy, dowodzi poniższy przykład. Przy suszeniu 5—4 łutów tegoż preparatu w naczyniu cynowém, wybuchła cała masa sama z siebie, i spłonąwszy ogromnym, przeszło 6—7 stóp wysokim słupem ognistym, zajęła poblizkie palne przedmioty. Sprawione tym łoskotnym wybuchem wstrząśnienie, było pomimo niewielką ilość bawełny, tak znaczne, iż je nawet w przyległych izbach mocno uczuto. Bawełna strzelnicza spłonie już przy 76° Reaumura, przy któréjto temperaturze proch strzelniczy nigdy się sam nie zapala.« — Równocześnie ogłasza rząd Wyższéj Frankonii w królestwie Bawarskiém surowy zakaz sprzedawania palnéj bawełny, w tych słowach: »Ponieważ bawełna eksplodująca należy poląd do preparatów, których użyteczność i bezpieczność bynajmniéj jeszcze uznane nie są, a sprzedawanie téjże tém większemu niebezpieczeństwu podlega, o ile że bawełna strzelnicza powierzchownie małoco od zwykłéj bawełny się różni; a wreszcie, gdyby nawet wszelkie tym podobne wątpliwości usunięto, sprzedawanie onej, równie jak sprzedawanie strzelniczego prochu, osobnego wymagałoby upoważnienia — przeto i t. d.«

Osobliwsza operacyja za pomocą snu magnetycznego odbyła się niedawno w francuzkiem mieście portowém Cherbourg. Jestto już piąta operacyja tego rodzaju, odbyta w tamecznym szpitalu, w obecności świadków urzędowych, i przeszło pięćdziesięciu osób. Chora, dziewczyna, operowana na gruczoły gardłowe, nie doznawała najmniejszego uczucia, ani też znaku boleści nie wydała, lubo jéj żyłę nadcinać i podwiązywać, jakoteż wargę zszywać musiano. Po przebudzeniu oświadczyła chora, iż nie czuła bynajmniej, co z nią robiono, i dziwiła się mocno, ujrzawszy się pokaleczoną. Zasługuje też na uwagę, z jaką szybkością chora przed operacyją snem magnetycznym uspioną została. Byłoby to wielkiem dobrodziejstwem — mówi spisany przez urzędowych świadków protokół — równie dla lekarzy, którzy nie są zupełnie nieczułymi, jakoteż i dla pacyjentów, którzy nieraz okropne bole, a co jeszcze straszniejszém bywa, długie zatrważające przygotowania znosić muszą; gdyby ten sposób operowania mógł być upowszechnionym. — Cała operacyja odbyła się najpomyślniéj; już piątego dnia rana zupełnie się zasklepiła, zdjęto przewiązkę, a chora była w stanie wychodzić.

Drożyzna przed cztérystą laty. W archiwie opactwa Hintersbach w Niemczech, znaleziono rejestr gospodarski, w którym rok 1454 zapisany jest jako rok nadzwyczajnéj drożyzny, ponieważ 1 tłusty wół kosztował wtedy półczwarta złotego, krowa 2 złote, cielę 1|3 zł., 23 baranów 8 zł., locha 1 zł., 23 młodych kurcząt 1 zł., 40 tuzinów jaj 1|2 zł., 13 funtów masła 1|2 zł. Wyprawionemu z opactwa do Kolonii posłańcowi wyznaczono na drogę 3 szelągi, z których on dwukrotny przewóz przez Ren opłacać, i sam przez kilka dni, należycie utrzymywać się musiał.

Chléb dla ubogich. Témi dniami ma być otworzona w Berlinie piekarnia chleba, którą Pruskie stowarzyszenie dobroczynności dla dostarczania ubogim zdrowego, taniego chleba urządziło. Skoro w całém państwie podobne piekarnie zaprowadzone zostaną, przekonamy się niechybnie o zbawiennych skutkach tego dobroczynnego przedsięwzięcia, i zaradzi się poniekąd niejednéj nienależytéj dolegliwości, na któréj ubodzy podwójnie i najdotkliwiéj cierpią.

Opinija publiczna pomiędzy dziewczętami. Uczenice wrocławskiego towarzystwa muzycznego oświadczyły jednomyślnie, iż przestaną chodzić do szkoły, jeźli córka pewnego osławionego bogatego lichwiarza, w ich grono przyjętą zostanie! — Ktożby ich za to nie ucałował!

Książę Ludwik Napoleon, podczas swojéj niewoli w zamku Ham, wypracował plan przerznięcia cieśniny lądowéj Panama, i ma teraz dla wykonania onego, odjechać do Ameryki centralnéj.

Piérwszy przykład policyjnéj kary za dręczenie źwierząt zdarzył się témi dniami w Peszcie. Pewien drążnik, który w napadzie złości, konia ubogiego woźnika nożem skaléczył, został pod areszt wziętym, i na dwudniowe więzienie skazanym; prócz czego będzie zapewne musiał jeszcze zapłacić karę za szkodę wyrządzoną przez to właścicielowi. Jestto więc piérwszy wypadek, gdzie dręczenie źwierząt faktycznie za występek policyjny uznano, i życzyć należy, aby policyja w tym duchu daléj postępowała, nie zaprzestając przytem wglądać oraz w dręczenie ludzi, które także wszelkiéj baczności jéj wymaga.

Martwe morze. Pewien świeżo ze Wschodu powracający Anglik »opowiada w opisie swojéj podróży:«.... Około czwartéj godziny z wieczora postrzegłem zdala posępne oblicze martwego morza. Podjechałem bliżéj ku tym nieszczęsnym wodom, wokoło których wszelkie życie, wszelka roślinność — zamarły. Jak daleko oko zasięgnie, wszędzie tylko pożółkłe, nagie, opustoszałe wzgórza. Ani jednéj muszki w powietrzu, ani zdźbła trawy na ziemi, ani krzewiny w szérokich zaspach piasku. U wybrzeża leżało kilka, falami Jordanu naniesionych pni drzewa o długich, suchych konarach, które z dawnego leżenia na słońcu zupełnie zwęgliły się i poczerniały. Te szkielety drzewne były w dziwnéj harmonii z całą zamarłą okolicą. Jechaliśmy dość długo wzdłuż wybrzeży martwego morza; za każdym krokiem stawał się widok smutniejszym i straszniejszym. Nareszcie noc zapadła. Musieliśmy się rozłożyć u podnóża piaszczystego pagórka, i nocować pod gołém niebem, bez ognia, na ostrym, przenikającym wietrze. Kilka garści zupełnie spalonéj i zwapieniałéj trawy, nie mogły nakarmić naszych koni, a wieczerza nasza ograniczała się na suchym kawałku koziego séra. Nazajutrz, skoro świt, wybraliśmy się w dalszą drogę, i przybyli do miejsca, gdzie Jordan w martwe morze się wléwa. Musieliśmy wpław przebyć rzékę, gdyż nigdzie nie było czółna. Zanim przygotowania do tego poczyniono, poszedłem się skąpać w morzu. Brzegi jego są tak płaskie, iż trzeba iść daleko, aby się po szyję w wodzie zanurzyć. Woda jest zupełnie czystą i przezroczą, ale ma smak szkaradny. Pływać w niéj niepodobna, gdyż ręce i nogi zostają zawsze na powierzchni, mimo wszelką usilność, aby je pod wodą utrzymać. Zmęczony tém daremném natężaniem się, wróciłem wkrótce z kąpieli, a gdy po kilku chwilach woda na mnie oschła, ujrzałem się grubą warstwą masy solnej powleczonym.«

Nic nowego pod słońcem. W Persyi jest używanie palnéj bawełny, jak się zdaje, oddawna znaném; tylko iż jéj tam nie do strzelania lecz jako żagwi używają. W r. 1808 przejeżdżał poseł perski przez Sztutgart, i jakto sobie pewien Sztutgarczyk przypomina, zapalał fajkę w ten sposób, iż mu służący z blaszanéj puszki kosmyk bawełny kładł na tytoń, a następnie tę bawełnę wykrzesaném z krzemienia ogniem zażegał, poczém bawełna spłonęła, a tytoń się zajmował.

Żona dwóch mężów. Pisma węgierskie donoszą o następującym wypadku: W pewnéj wsi niedaleko miasteczka Rechlitz, w komitacie Eisenburskim, mieszka leśniczy, który ożeniwszy się przed cztérą laty, żył odtąd szczęśliwie z swoją żoną. Niedawno wraca on w nocy do domu, i dowiaduje się, iż żona jego nad wieczorem z jakimś nieznajomym panem odjechała. Czémprędzéj wsiadł leśniczy na koń, i w towarzystwie przyjaciela pognał w wymienionym sobie kierunku za powozem, który też w istocie przed samą granicą dopędzono, i za pomocą zwierzchności miejscowéj zatrzymano. Wszakże przy urzędowém posłuchaniu okazało się, iż nieznajomy mężczyzna jest piérwszym mężem leśniczyny, a dawnym wojskowym polskim, który w rewolucyi z r. 1830 przez Rosyjan w niewolą wziętym, i na dożywotne wygnanie na Sybir wysłanym został. Z taką karą, połączony jest w Rosyi rozwód małżeński. Opuszczona małżonka udała się do swoich krewnych w Węgrzech, i żyła tam w niedostatku, a znalazłszy stosowną partyję, poszła drugi raz za mąż. Tymczasem powiodło się wygnańcowi umknąć z Sybiru i wrócić do ojczyzny, gdzie jednak żony nie zastał. Powziąwszy więc niejakie wiadomości o miejscu jéj teraźniejszego pobytu, wybrał się w drogę za nią, i po długiém szukaniu znalazł ją w domu drugiego męża, lecz zawsze przywiązaną do siebie. Jakoż nie wahała się ona udać natychmiast za małżonkiem swojéj piérwszej niezagasłéj miłości, i chociażby nawet występkiem, wynagrodzić jego rzadką wierność i miłość. Atoli biédny leśniczy i ustawy, nie zechcą zapewne na to jéj poświęcenie się zezwolić.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.